

Wybudzeni z posthistorycznej drzemki. Polityczna mentalność współczesnych Niemców



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,
kierownik sekcji Publicystyki

Niemcy wierzyli w koniec historii i mieli nadzieję, że państwa autorytarne można nawrócić na demokrację. Dziś powoli wychodzą z tych złudzeń. Jak ich dobudzić?

Czym są Niemcy? Jak widzą siebie i swoją pozycję na świecie? Jaka jest ich tożsamość i mentalność, by wręcz rzec, polityczna „dusza”? Odpowiedź na te pytania może pomóc w zrozumieniu ich decyzji. Pomóc także w tym, by skutecznie wpływać na to, by w większym stopniu odpowiadały naszym polskim, i naszym wspólnym, europejskim interesom.

W Polsce często myślimy o naszym zachodnim sąsiedzie w kategoriach sprzed 80 lat, jako o barbarzyńskim najeźdźcy, który dąży do nas, by nas zniewolić, o ile nie po prostu eksterminować. Jednak tamtych Niemiec już nie ma. Historię współczesnej niemieckiej mentalności politycznej można zacząć od 1945 roku. I jest to głównie historia Niemiec Zachodnich, gdyż koniec końców to dążenia i przeżycia zachodnioniemieckiego społeczeństwa i jego elit politycznych ją ukształtowały. W 1945 roku Niemcy doznały druzgocącej klęski wojennej – drugi raz w ciągu niecałych 30 lat. Oznaczała ona okupację całego kraju przez cztery zwycięskie państwa i utratę ponad jednej czwartej przed-

wojennego terytorium. Niemiecka ludność zamieszkująca, nierzadko od stuleci (jak choćby Niemcy Nadwołżańscy, przybyli do Rosji w XVIII wieku) poza pierwotną ojczyzną, musiała opuścić swoje miejsce pobytu i przenieść nad Ren czy Sprewę. Mieszkańcy, którym do tej pory Wódz wmawiał, że są Nadludźmi, przechodzili gehennę, zwłaszcza z rąk okupantów sowieckich.

Jedność ponad wszystko

Sytuacja, w której Tysiącletnia Rzesza w ciągu sześciu lat wojny rozpadła się jak domek z kart, musiała wpłynąć na świadomość polityczną i wyobrażenie dalszych celów państwowych. Światowa hegemonia stała się mrzonką. W chwili, gdy nie wiadomo było, ile właściwie będzie państw niemieckich (do 1957 roku można mówić de facto o czterech – obok Republiki Federalnej Niemiec i Niemieckiej Republiki Demokratycznej także o Kraju Saary, który wówczas dołączył do RFN oraz o Berlinie Zachodnim, którego status

można określić jako: „to skomplikowane”), celem numer jeden stała się jedność Niemiec. Cel ten podkreślony został symbolicznie na liczne sposoby. Przykładowo, dziś nie śpiewa się: „Niemcy, Niemcy ponad wszystko”. Intonując swoją „Deutschlandlied”, przeskakują także drugą zwrotkę, traktującą o niemieckim winie, kobietach i śpiewie, które mają zachęcać ich do wielkich czynów i przechodzą od razu do trzeciej. „Jedność, Prawo i Wolność dla niemieckiej Ojczyzny” – oto wymieniane na początku hymnu trzy wartości, które mają być najbliższe sercu wszystkich Niemców. Zjednoczonych w różnorodności, Niemcy bowiem są realnie państwem federalnym. Alianci zadbali o to, by wyłonienie się nowego Führera było instytucjonalnie maksymalnie utrudnione. Dlatego w RFN istnieje solidny system *checks and balances*, w którym nie tylko silny Federalny Trybunał Konstytucyjny i system sądowniczy, ale także rządy poszczególnych krajów związkowych, reprezentowane w wyższej izbie parlamentu – Bundesratie – ograniczają kompetencje Bundestagu i kanclerza. Rządzącym trudno więc podjąć szybkie, rewolucyjne decyzje.

Jeszcze dobitniej o dążeniach naszych zachodnich sąsiadów mówi ichnia Ustawa zasadnicza. Tak – nie Konstytucja, uchwalone w 1949 roku najwyższe prawo RFN miało bowiem „nadać życiu państwowemu nowy porządek w okresie przejściowym” i dotyczyć „także tych Niemców, którzy nie mogli współuczestniczyć [w jego tworzeniu]”, jak głosi preambuła. Żeby już nie było wątpliwości, dlaczego mowa o okresie przejściowym, czytamy w pierwotnym art. 23 (obecnie wykreślonym w tym brzmieniu), że ta Ustawa zasadnicza obowiązuje w dwunastu ówczesnie istniejących krajach związkowych, zaś „w in-

nych częściach Niemiec ma wejść w życie po ich przystąpieniu”. Jeszcze w późnych latach 60. XX wieku w atlasach czy na plakatach wyborczych (także partii mainstreamowych jak choćby chadeków) można było znaleźć bardzo wyraźnie zarysowane granice Niemiec z 1937 roku jako prawomocne. RFN uznało granicę z Polską na Odrze i Nysie dopiero w 1970 roku (co zresztą i tak musiało zostać ostatecznie potwierdzone 20 lat później). Niezależnie od niuansów, gdzie kończyć mają się zjednoczone Niemcy, praktycznie cała elita polityczna RFN, od socjaldemokratów przez liberałów po chadeków (nie licząc skrajnej lewicy spod hasła „Nigdy więcej Niemiec”) traktowała je jako wspólny cel.

Antynazistowska resocjalizacja

Ważnym elementem tworzenia się mentalności politycznej Niemców było solidne przepracowanie ich nazistowskiej przeszłości. Z powodu zaangażowania milionów Niemców w zbrodniczy reżim (na różnych poziomach) proces ten mógł zacząć się dopiero wtedy, gdy ich dzieci zaczęły zadawać niewygodne pytania, co też ich matki i ojcowie robili za Hitlera – i gdy było ich już wystarczająco dużo, by móc się z tymi pytaniami przebić. Od lat 60. XX wieku mamy w Niemczech Zachodnich do czynienia z rewolucyjną zmianą myślenia o sobie jako o ofiarach (sic! – ale czyich?) ku uznaniu jednoznacznie negatywnej roli III Rzeszy w II wojnie światowej. Od tamtego czasu nastąpił szereg ekspiacji i podkreślania niechęci do wojny. Niemiecka polityka jest oficjalnie budowana na programowym antyfaszyzmie, antynacjonalizmie i antimilitaryzmie.

Nie znaczy to, że politycy rządzący nie starają się realizować interesu państwa, jakkolwiek go definiują. Oznacza to jednak

inne jego ukierunkowanie, podkreślanie roli, jaką Niemcy odgrywają w ramach szerszych organizmów (EWG, obecnie UE) i mniejszym zakresie środków, jakimi dysponują w ich realizacji. W dużej mierze są to środki gospodarcze – i tu przechodzimy do kolejnego elementu wspólnego dla Niemców, mianowicie przywiązania do Społecznej Gospodarki Rynkowej (pisanej dużymi literami), nastawionej na eksport. Miejsce realizowania wielkich narodowo-państwowych celów zajęło bardziej przyziemne bogacenie się i tworzenie „dobrobytu dla wszystkich”, jak mówił wielki (dosłownie i w przenośni) minister gospodarki i przez chwilę kanclerz RFN, Ludwig Erhard. Pierwotnie budowana przez chadeków i współpracujących z nimi liberałów, stała się z biegiem czasu częścią ogólnonarodowego konsensusu, choć za rządów prawicy nabiera ona bardziej subsydiarno-liberalnego charakteru, a za rządów lewicy – bardziej państwowo-socjalnego.

Nie znaczy to, że Niemcy nie przeżywali bardzo gorących sporów wokół polityki wewnętrznej i zagranicznej czy historii, nie przeżywali rewolucji seksualnej, awantur o energię atomową czy „Niemieckiej Jesieni” 1977 roku, gdy lewacki terror paraliżował kraj. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdy w 1990 roku skończyła się Historia – i to Niemcy Zachodnie okazały się jej zwycięzcą. Gdy upadał komunizm, dokonały akcesji NRD, bo tym właśnie było *de facto* i *de iure* „zjednoczenie” (Niemcy mogliby używać pojęcia „Anschluss”, gdyby się źle nie kojarzyło). Prowizorka Ustawy zasadniczej okazała się bardzo trwała – nie opracowano nowego prawa dla nowego państwa, bo i nie powstało żadne nowe państwo. Niemcy nadal są, formalnie – RFN. A żeby nie było już żadnych wątpliwości, w zmie-

nionej Preambule czytamy, że „Niemcy, w krajach [tu następuje wyliczenie wszystkich szesnastu landów] w swobodnym samostanowieniu zakończyli dzieło wolności i jedności Niemiec. W ten sposób niniejsza Ustawa zasadnicza wiąże cały naród niemiecki”.

Niemcy nie mają masterplanu

Niemieckie elity uznały więc, że historia się skończyła i można udać się na zasłużoną drzemkę. Rzecz jasna nie oznacza to, że przestały prowadzić politykę. Nadal rozwiązywały mniejsze i większe problemy wewnętrzne. Integrowały cztery nowe landy (plus cały Berlin), które pojawiły się w granicach zjednoczonego państwa, a także rosnącą rzeszę migrantów, głównie z Turcji, dzięki którym państwo nie przechodzi demograficznego kolapsu (od końca lat 60. XX wieku Niemcy mają ujemny przyrost naturalny). Realizują reformy socjalne i rynku pracy, gdy okazuje się, że dotychczasowy jest nie do uniesienia. Biorą aktywny udział w rozszerzeniu Unii Europejskiej i pogłębieniu jej integracji, co można traktować jako nową formę zjednoczenia. Jednocześnie stwierdziły, że pod amerykańskim płaszczkiem ochronnym, otoczone samymi sojusznikami bądź państwami neutralnymi, nie muszą rozwijać własnej armii – dlatego jest ona obecnie w bardzo kiepskim stanie. Znalazły sobie także nową misję: szerzenie pokoju, demokracji i postępu. Po wspomnianej wcześniej antynazistowskiej resocjalizacji czują się bowiem prymusem w tej dziedzinie, upoważnionym do udzielania w tym zakresie lekcji innym. Stąd obecne coraz częściej, a tak drażniące w tym zakresie *besserwisterstwo*.

Hasłem używanym chętnie w tym kontekście jest także „Wandel durch Handel”,

czyli liberalno-demokratyczne przeświadczenie, że państwa autorytarne bądź totalitarne można nawrócić na demokrację, zacieśniając z nimi relacje gospodarcze. Niemcy nie zauważyli jednocześnie, że ten kij ma dwa końce. Bliskie relacje handlowe z takimi krajami utrudniają reakcję państwa demokratycznego, gdy coś pójdzie nie tak. Może ono bowiem także bardzo stracić na potencjalnym rozluźnieniu relacji.

W rzeczywistości jednak hasło to często było przykrywką dla czysto merkantylnego dążenia do zawierania intratnych kontraktów z Rosją, Chinami czy państwami arabskimi bądź Turcją. Na niemiecką politykę coraz większy wpływ zaczęły wywierać różnego rodzaju przemysłowe lobby. Jakkolwiek rodzimi germanofobi mogą uznać to za naiwność, rekonstrukcja niemieckiej polityki ostatnich trzech, a zwłaszcza dwóch dekad pokazuje, że bońsko-berlińskie elity nie mają i nie miały żadnego masterplanu, który miałby powoli, acz sukcesywnie, prowadzić do budowy hegemonii RFN w Europie i świecie. Jeśli miało miejsce umacnianie pozycji Berlina, to w wyniku wykorzystania sprzyjających okoliczności i błędów partnerów i konkurencji, niż wykonywania misternych założeń krok po kroku. Przeciwnie – zarówno w polityce Gerharda Schrödera, jak i Angeli Merkel widać krótkowzroczne uleganie lobby i wyborcom, czego sztandarowym przykładem jest – jakże aktualny – problem uzależnienia Niemiec od rosyjskich surowców. Jeśli istnieje coś takiego, jak racja stanu i nie jest to tylko górnolotne określenie dla działań, które dany polityk przedstawia jako coś obiektywnie ważnego dla dobra wspólnego, by je łatwiej sprzedać wyborcom, to jest nią z pewnością zapewnienie państwu antykruchości wobec zewnętrznych wstrzą-

sów – a przynajmniej uczynienie go na nie bardziej wytrzymałym. Jeśli więc ktoś uzależnia swoje państwo od jednego źródła i nie buduje nawet jednego terminala gazowego, choć dużo ubożsi sąsiedzi w ten sposób inwestują w swoje bezpieczeństwo, to ewidentnie nie kieruje się racją stanu.

Żeby robić coś takiego, trzeba nie tylko dbać o własne miejsce pracy w rosyjskich spółkach gazowych w przyszłości (jak Schröder) albo o miejsca pracy w landzie, z którego się pochodzi (jak Merkel), ale w dodatku uważać, że hipotetyczna konieczność pożegnania się z rosyjskim gazem jest tak nikła, że nie ma sensu brać jej pod uwagę. Trzeba, krótko mówiąc, zapaść w postpolityczną drzemkę wywołaną wiarą w to, że historia się skończyła. Skoro dokonało się dzieło jedności i wolności Niemiec, skoro żaden faszyzm nam nie grozi, to zostaje nam tylko „jeść, pić i używać”.

Prawa człowieka działają (na Niemców)

Niemcy właśnie budzą się z tej drzemki. Nie jest to łatwe i jednolite przebudzenie, ale następuje. Jeśli uważamy, że reakcje naszych zachodnich sąsiadów na agresję rosyjską na Ukrainę są niewystarczające – a są – to trzeba wziąć poprawkę na właśnie tę drzemkę, odległość od rosyjskich i ukraińskich granic, ograniczenia instytucjonalne, a także brak, nomen omen, jedności w tym zakresie. Nie jest to usprawiedliwienie, a racjonalizacja ich działań. Nic nie da bowiem moralne oburzanie się, zwłaszcza że minął czas, kiedy można było naszych zachodnich sąsiadów skutecznie szantażować, wypominając im ich nazistowskich dziadków i pradziadków – dziś to coraz częściej ich zwyczajnie irytuje, bo ileż można tego słuchać. Współcześnie

zwłaszcza prawicowe media w Polsce lubują się w ukazywaniu Niemców jako ukrytych wspólników Putina, w których elity są zakochane w „rosyjskiej duszy”. W rzeczywistości toczy się w Niemczech poważna debata na ten temat, a na jeden list intelektualistów, który przestrzega przed zbrojeniem Ukrainy, przypada inny, który się tego domaga. W sondażach poparcie rośnie przede wszystkim głównym opozycyjnym partiom chadeckim CDU i CSU, które pod kierunkiem Friedricha Merza przyjęły pryncypialnie proukraińskie stanowisko, a także współrządzającym Zielonym, którzy najmocniej pchają kanclerza Scholza do radykalnego działania w sprawie Ukrainy. To właśnie starający się o nowe źródła gazu wicekanclerz i minister gospodarki Robert Habeck oraz minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock mieli w maju najwyższe oceny w comiesięcznym sondażu popularności Politbarometer.

Zresztą powód, dla którego to właśnie Zieloni, współrządzająca liberalna Partia Wolnych Demokratów (z różnych powodów akurat niekorzystająca z proukraińskiej sondażowej dywidendy) oraz chadecy

najszybciej wybudzili się z posthistorycznej drzemki, wpisuje się w zjawiska opisywane powyżej. Dwie pierwsze partie bardzo mocno w swym przekazie stawiają na demokrację i prawa człowieka. Dodatkowo Zieloni jako polityczne dziecko Pokolenia '68 są bardzo uwrażliwieni na kwestie dotyczące antynazizmu. I widzą, słusznie zresztą, w Putinie współczesny odpowiednik Hitlera. Tym razem chcą być po jasnej stronie mocy. Nie pierwszy raz Zieloni, gdy zderzały się ze sobą takie bliskie im wartości jak pacyfizm, ekologizm i prawa człowieka, stawiają na te trzecie, jednocześnie podkreślając, że aby uniezależnić się od Rosji, trzeba stawiać na odnawialne źródła energii. Z kolei chadecją kieruje od zawsze euroatlantycki Friedrich Merz, którego kilkanaście lat temu z głównego nurtu polityki wykolegowała Angela Merkel. Demoliberalne idee, umiarkowana świadomość zagrożenia ze strony Rosji, podkreślanie wspólnego europejskiego interesu, a także aspekty bardziej przyziemne jak chęć udowodnienia, że była kanclerz się myliła, to te aspekty, na które powinniśmy stawiać, gdy chcemy Niemców jeszcze bardziej dobudzić.